

Kronika tygodniowa.

Do końca roku i wojny, a tem samem i do powrotu normalnych stosunków zbliżyliśmy się znowu o cały jeden tydzień, który zakończył równocześnie i miesiąc listopad.

Zaczęliśmy go pod stosunkowo dość niepomyślnymi auspicyami, na dzień bowiem świętego Marcina zamiast gęsi trzeba się było obejść smakiem. W tym czasie obronicieli Kapitolu, choć latać nie potrafia, podniosły się tak w cenie, iż o nabyciu chudego nawet gęsięgo osobnika mógł myśleć chyba tylko jaki paskars, dostawca wojenny, lub kamienicznik, który nie robiąc sobie nic z tak zwanej „Ochrony lokatorów“, nie zapominał i w tym kwartale o podniesieniu czynszów ze względu na coraz cięższe czasy.

Sterzy Krakowianie, którzy pamiętają jeszcze sklep Mandelbauma przy alcy Grodzkiej i jego gęsi, świątka po czterdziestu pięć centów, zastanawiali się poważnie nad tem, czy też jeszcze obecne pokolenie doczeka się powrotu dawniejszych warunków.

Bo, że wojna już właściwie raz na zawsze w łeb wsięła, o tem niema dwu zdań, ani raz przecieć nie można sobie pozwolić na najedzenie się do syta, o ile się nie jest milionerem.

Przy samym końcu listopada poprawiła się nieco sytuacja, a to dzięki Komisji likwidacyjnej, która raczyła łaskawem okiem spojrzeć na miszeryę zjadaczy codziennego chleba i zabrała się do regulowania cen artykułów spożywczych. Chleb potaniał, gęś można było kupić za trzydzieści sześć koreń, nie też dziwnego, że tu i ówdzie pani Katarzyna w dzień swych imienin zaprosiła znajomych na świętą gęsinę, to samo zaś uczynił i pan Andrzej.

Jak wiadomo z kości pieczonych gęsi można wysnuwać wnioski co do lekkości lub ostrości zimy. Według zgodnej opinii fachowców, tegoroczna zima ma być stosunkowo dość łagodną, na co wskazywałyby i ostatnia kradzież w magazynie parasoli Rimmiera. Po inne lata w tym czasie kradli słodzieję futra i inne zimowe ubrania, obecnie zabrali się do parasoli i parasolek.

Zresztą i ze względu na brak węgla nie powinna nam zima zbyt się dać we znaki. Na ich brak narzekają nie tylko mieszkańcy miasta, ale i wsi, jak się o tem miałem sposobność przekonać ze słów pewnego większego agraryusza. Przybył on do Krakowa w tym celu, aby w jakimś tam inspektoracie węglowym, który objął agendy ś. p. Centrali węglowej, wystarać się o przydział węgla dla młyna, gorzelni i cegielni.

Pan referent, przed którego oblicze udało mu się szczęśliwie dostać, wysłuchał łaskawie jego żądań, a rozważywszy je należycie orzekł, że dla młyna da węgle, bo to sprawa aprowizacyjna, nie da ich zaś dla gorzelni i cegielni, już choćby tylko z tego powodu, że ich nie ma wcale do dyspozycji.

Nie pomogły tłumaczenia, że cegielnia stoi przecieć w ścisłym związku z odbudową kraju, a gorzelnia ma też łączność z aprowizacją, gdyż ziemniaki w tym roku się panują, co rychlej zatem należy je przerobić na spirytus, a w zamian za ten można dostać za granicą różne artykuły spożywcze.

Ale agraryusz swoje, a pan referent swoje. Na wszelkie przedstawienia miał tylko jeden argument:

— A ja łaskawem pana mówię, że brak zapasów węgla, gdyż niema rąk do pracy!

W międzyczasie odwleka pana referenta do telefonu. Z rozmowy, jaką przeprowadzone, dowiedział się agraryusz, że zarząd kolejowy jest w kłopotcie, nie mogąc się doczekać, aby raz sobie już zabrano kilkadziesiąt wagonów węgla, od dzisiaj już czasu czekających na wyładowanie. W przeciwnym razie owe węgle, choć przesznasowane dla Galicji zachodniej, będą musiały być wysłane na wschód, aby umożliwić normalny ruch na najważniejszym dworcu towarowym.

— Pomyślę o tem — zakończył pan referent rozmowę, a zwracając się do czekającego jeszcze agraryusza dodał:

— Szkoda, że pan traci czas na próżno. Mówiłem już, że węgla nie mamy do dyspozycji!

Z tego widać, jasno jak na dłoni, że choć rządy austriackie już się u nas skończyły, pokutuje przecieć stary austriacki system, polegający na robieniu trudności i nie liczeniu się z potrzebami ogółu.

Tak było o ile się miało do czynienia z władzami cywilnymi, nie inaczej postępowały sobie i wojskowe. W nadziei zapewne, że wojna obecna potrwa przynajmniej do końca bieżącego stulecia, gromadzono w magazynach zapasy, nie chcąc z nich uronić nawet drobnostki. I dlatego to w Krakowie karmiono po szpitalach chorych żołnierzy marchwią pastewną lub śledziami, a magazyny były pełne różnych smakołyków, adających się właśnie dla chorych. Na razie chorzy

musieli się obejść smakiem, a na sapaśach używały myszy i szczury.

Nie inaczej miała się rzecz z naprawą butów. Jeden z komendantów prosił intendaturę, by mu kupiono maszynę szewską do szydeł, gdyż ma w batalionie kilka sterców, którzy zaopatrzają w całe obuwie nie tylko ten batalion, ale i inne. Na odpowiedź czekano długo, wreszcie doczekano się rezolucyi, że intendatura ze względów zasadniczych na coś podobnego zgodzić się nie może, należy zatem, tak jak było dotąd, każda para podartych butów wysyłać celem naprawy do Olomuńca, a za przyszłość wystrzegać się zajmowania podobnemi głupstwami komendę, która ma w głowie co innego, nie jakieś tam stare buty krakowskich landsturmistów. Chodzenie zresztą w podartych butach może się przyczynić tylko do zahartowania ludzi.

I tak się też stało. Każda para podartych butów, wraz z szanistym aktem, szła sobie do Olomuńca, tam odleżała się najspokojniej przynajmniej pół roku, a potem wracała, o ile naturalnie nie zginęła gdzie po drodze. A właściciel butów chodził tymczasem bez butów i miał sposobność kształcić się na bosonogięgo tancerza.

Z *Arbeiterzeitung* dowiadujemy się, że w południowym Tyrolu coś około czterysta wagonów cukru stało się łupem Włochów. Austriacka komenda ochwalała je, jak się zdaje, na jeszcze gorsze czasy, szczerząc żołnierzom na froncie cukru, a tłumacząc się, że wszelakie śledczyce należy sobie zostawić na życie przyszłe, dekad bardzo łatwo mogą się dostać z „pola chwały“...

Niemcy pokpiwali sobie zawsze z polskiej gospodarki, ale przyznać muszą, że była ona jeszcze czemś idealnem w porównaniu z austriacką. Dzięki jej właśnie wygląda dziś Austria tak, jak się nikt nie spodziewał, to jest nie wygląda wcale.

Nawet tak ultra-lojalne do niedawna pismo, jak *Morgenzeitung* nie ma dość słów oburzenia, charakteryzując gospodarkę austriacką w czasie wojny.

I ma zupełną rację.

Przy tej sposobności niechże mi przecieć wolno będzie zrobić uwagę, że co najmniej niesmaczna musi się nazwać napaść tego pisma na cesarza Karola. *Morgenzeitung*, która do niedawna jeszcze nie widziała nic dokoślawego poza austriackim systemem, a do cesarskiego domu odnosiła się wprost bałwochwalczo, dziś, gdy się fortuna odmieniła, a szczęście w tę stronę smutną odwróciło się twarz, używa sobie na osobie byłego cesarza, nazywając go całkiem ordynarnie pijaczyną (*der Veranfte*).

U każdego, kto to czytał, wywołać musiał ten *fassus* co najmniej ubolewanie, jeśli nie obrzydzenie. Jak się to rychło zmieniła usposobienia!... Niechby tak przed pół rokiem na coś podobnego, choćby tylko w przybliżeniu i miniaturze pozwoliło sobie jakieś tene radykalne pismo, jestem pewny, że *Morgenzeitung* pierwsza wołałaby gwałtem i wzywała niebios, by nie ociągały się z ukaraniem przykladnem zdrójcy stanu.

Ale z czasem stosunki się zmieniły, nie można stamtąd spodziewać się ani orderu, ani subwencji, więc dalejże... huzia!...

Główny czytał ten artykuł, choć Austriakiem nigdy nie byłem, ogarnął mnie wstręt i mimowoli przypomniała mi się owa bajka o chorym lwie i znęcającym się nad nim olinie. Tak, jak ów postępek osła spotkał się z potępieniem wszystkich zwierząt, bez względu na to, czy byłyby zwolennikami swego króla i władcy, czy nie, tak też samo przyjęto do wystąpienia *Morgenzeitung* Krytykować można system, ale osoby powinno się zostawić w spokoju.

Jakie motywy kierowały autorem, w to nie wchodzi, w każdym razie muszą przyznać, a uczyni to wraz ze mną zapewne i każdy bezstronny, że bynajmniej nie szlachetne.

Ciekawy jestem, jaką minę zrobiliby panowie z redakcyi, gdyby tak nagle stosunki się zmieniły, a cesarz Karol powrócił na tron. Zdaje się, że nagle zmienionoby ton i chwalałoby to, co się dziś gani.

Z tej samej gazety dowiedziałem się także o utworzeniu pierwszego gabinetu palestyńskiego, złożonego o ile mi się zdaje z samych syonistów, co kazałoby się spodziewać, że zaraz po wojnie rozpocznie się w stronę Palestyny emigracja żydów z całego świata, więc i z Polski.

Zwłaszcza nasi syoniści, którzy nie są zadowoleni ze stosunków, w jakich u nas żyją żydzi, powinni by zrobić początek. Ale oni tylko narzekają, że im się u nas źle powodzi, a gdy przyjdzie do czego, powiadają, że nie myślą się stąd ruszyć. Widocznie więc jest im tu dobrze.

Jeśli tak jest, w takim razie niech w *Nowym Dzienniku* nie dają folgi nienawiści, jaką żywią wobec nas, gdyż zbyt naciągana struna może łatwo pęknąć, a to ze względu na obie strony nie byłoby wcale pożądanem. Ich polityka spotyka się z potępieniem ca-

łego uczciwego ogółu żydowskiego, bo jeśli ci to do brze, to bądź kontent i siedź cicho, jeśli zaś nie, to otwarta droga choćby nawet do Palestyny. A trudno chyba od nas wymagać, byśmy my, którzy tutaj jesteśmy przecież panami na swych własnych śmieciach, dostosowywać się mieli do jakichś tam uroszezeń tak znikomej mniejszości, nie mogącej być uważaną za reprezentację całego żydowskiego narodu.

Sami syoniści dają do stworzenia samodzielnego państwa żydowskiego, nadarza się im właśnie sposobność do pracy dla swego narodu. Ale niech nie zapominają o tem, że Polska, to nie Palestyna i że są tutaj tylko gośćmi, a chyba nie zaprzeczają, że nigdzie nie mieli takiego spokoju i nigdzie nie spotkali się z taką tolerancją, jak wśród naszego społeczeństwa.

Głoszenie całemu światu strasznych wiadomości o pogromach, których ofiarą padają u nas rzekomo żydzi, jest tendencyjną przesadą, obliczoną na zdyskredytowanie naszego społeczeństwa wobec cywilizowanej Europy, a na taki objaw wdzięczności chyba sobie nie zasłużyliśmy. Przyszło wprawdzie tu i ówdzie do karygodnych wybryków, które pociągnęły za sobą ofiary w życiu ludzi i ich mieniu, ale było to dzieło jednostek, częstokroć nie zdających sobie nawet sprawy z tego, w jaką grę się wdają, lub też takich, którym na tem zależało, by przeszkodzić spokojnemu współżyciu chrześcijan i żydów, nigdy przecieć nie powinno się wlinić o to całe nasze społeczeństwo. W innych krajach nie dzieje się inaczej, a nikt przecieć nie trąbi zaraz na alarm i nie wzywa na pomoc całą Europę. Artykuł *Manchester Guardian*, w którym wspomniano o pogromach i ostrzeżeniu koalicji pod adresem Polaków, że nie ścierpi, by w nowem państwie mniejszości narodowe nie miały się cieszyć całą pełnią praw obywatelskich, polegał na mylnej informacyi przez jednostki albo złej woli, albo nie znające naszych stosunków.

Sądzę przecieć, że sprawa polsko-żydowska wreszcie się wyklaruje, a im wcześniej to nastąpi, tem lepiej dla obu stron. Trzeba tylko nieco dobrej woli, ale nie z naszej strony, bo my jej już dość okazaliśmy.

Ciekawa rzecz, co się stanie ze sprawą ukraińską, o ile ona dotyczy Galicji wschodniej. Lwów jest już w rękę polskiem, przyczem, niestety, nie obeszło się bez niepotrzebnego zupełnie rozlewu krwi. I tutaj pokutuje jeszcze ten stary system austriacki, który gruntował swą władzę na różnieniu między sobą narodowości, kraj jeden zamieszkujących. *Divide et impera* zrobiło swoje, robiąc z tych, którzy powinni sobie być braćmi, wrógów nieprzejednanych, by ktoś trzeci, zupełnie obcy, mógł z tego odnieść korzyści. Nasi, a jeszcze bardziej ruscy politycy dali się wpaść na lep, z którego dziś trudno się im już oderwać. Być może, że niejedenemu z nich otwierają się już oczy i widzi, że stał się ofiarą swej łatwowierności, ale zbyt przeczulony honor nie pozwala na to, by się wrócić z obranej raz drogi, choćby się nawet i widziało, że jest ona fałszywą i do celu nie prowadzi.

I to jest właśnie nieniechzalna choroba wielu naszych i obcych polityków, na czem cierpi najbardziej cały ogół, nie mieszający się do polityki, ale ponosić muszący jej skutki.

I tutaj trzeba tylko dobrej woli, a wszystko się ulotyi, ale z podobną propozycją nikt się pierwszy nie odważył odzwadzać, by go przypadkiem nie posądzono o słabość.

W takim to błędnem kole żyjemy, a ani rusz znaleźć zań drogę wyjścia!...

Na zakończenie coś wesołego.

Szerzący się w całym świecie ruch bolszewicki oczekiwany jest i u nas, zwłaszcza przez tych, którzy sami nic nie mają, a bez pracy chcieliby dojść w łatwy sposób do dobrobytu.

Opowiada się więc, że prywatna własność będzie zniesiona, a każdy otrzyma tyle, by mógł żyć wygodnie i dostatnie.

Na takie załatwienie sprawy tej zupełnie się zgadzam i już obrałem sobie trzypiętrową kamieniczkę na jednym z przedmieść Krakowa, która powinna przypaść mi w udziale, jeśli wogóle ma się mówić o sprawiedliwości. Nie pogardzę przytem i kilkaset morgów dobrej ziemi, z lasem i stawem, by się miało własne zajęcie i rybki. Będę sobie przez zimę siedział w mieście, na wiosnę wybiorę się na wieś, by tutaj *paterna rura bubus colere suis*...

Oby mi się jednak tak nie przydarzyło, jak owemu krakowskiemu wojennemu przemysłowcowi, któremu się gwałtownie zachciało zostać odrazu agraryuszem i to na wielką skalę. Odpowiedni majątek znalazł się rychło i te gdzie, aż we wschodniej Galicji. Po złożeniu zadatku wybrał się Krakowianin na miejsce, celem oglądnięcia nowej posiadłości. Ale też spotkało go zgoda nieoczekiwane przyjęcie. Ludność słyszała coś o bolszewizmie i podzieliła już z góry między siebie obszar dworski, a nowy właściciel ledwie z ziołem uciekł do Krakowa.